

Wilhelm Korabiowski: À la manière de... Bruno Schulz

W owe dni, kwaśne od potu Adeli i popielate od snu subiektów – ojciec mój dziwnie posmutniał. Całymi wieczorami, w płaszczu i kapeluszu, siedział na małym blaszanym nocniku barwy wrzącego cynamonu i trzymając w rękach oba pośladki, z całej siły przyciskał je do brzegów tego naczynia, o barwie i woni w najwyższym stopniu wątpliwej, dwuznacznej i ryzykownej, jakby jego zawartość miała go lada chwila wysadzić w powietrze.

Nie rozumieliśmy wówczas tego poświęcenia, tego cichego bohaterstwa, z jakim ojciec wbrew najgłębszym przekonaniom bronił istniejącego porządku rzeczy przed tym niebywałym zamachem stanu, który gotował się w łonie materii, przed tą skandaliczną aferą substancji, przed tą horrendalną intrygą materii, przed tym kapitalnym puczem, który dojrzewał powoli, lada chwila gotowy do wybuchu.

Już wówczas zauważyłem pewnego wieczora, jak ojciec, stękając cicho, ostatkiem sił trzymał się na krawędziach nocnika, jakby wewnątrz cwałowały całe tabuny dzikich stragonyaryjskich jeży albo oszalałych kosmatych szczurów. Już wówczas z wnętrza dochodziły owe dwuznaczne szmery i chroboty, owe dyskretne mlaskania i owe ironiczne krząkania, a ściany naczynia zaczęły nieznacznie marszczyć się, pęcznić i fałdować, jeszcze nie mogąc się zdobyć na odwagę ostatecznej decyzji. I kto wie, czy ojciec mój sam jeden nie opanowałby tej fermentującej materii, gdyby nie fakt, który zaszedł pewnego dnia.

Ojciec ostatkiem sił i resztką gasnących pośladków trzymał się na naczyniu, kiedy pewnego wieczoru weszła Adela. Podeszła do ojca i wyciągnięty wskazujący palec przytknęła do najbardziej zaognionego, wybrzuszonyego miejsca na ścianie naczynia, po czym powoli zaczęła się cofać, ciągle kiwając wyciągniętym ironicznym palcem i mrugając dwuznacznie oczkiem na pończoszce jedwabnej. W tej chwili dotknięte i zapłodnione miejsce zaczęło się lejowato wydłużać, wyciągać w kierunku oddalającego się palca Adeli, po czym ściany naczynia zmiękły, spęczniały, rozkleiły się i otworzyły. Wściekły strumień gęstej, brunatnej woni popłynął korytem wyżłobionym w powietrzu ciągle jeszcze kiwającym palcem Adeli.

Płynęły oszalałe z wolności strawione restancje wielu familijnych obiadów, podwieczorków i kolacyj, przelewały się bez końca strumieniem rozmaitego kału, który w nagle zbudzonej płodności wymajaczał ze siebie coraz nowe strumienie, dopływy i wiry rozmaitej konsystencji, woni i koloru. Strzelały wysokim sopranem wszystkie żółte, chromowe soki rzadkiego rozwolnienia, były wśród zwałów bru-



Stary i kondor, przed 1930, ołówek

natnego kału kipiące źródła spienionego bursztynu, pędziły niepowstrzymane niagary kipiącego moczu, wiły się wśród skrętów jelit obłe nitki glist i gąsienic, skręcały błyskawicznie spirale trychnin i soliterów, strzelała liśćmi zużyta zieleń niestrawionych jarzyn, która szybko, pośpiesznie i tandetnie imitowała i nadrabiała brakujące formy, rozrastała się w głowiaste banie kapusty, sałaty i kielu, pędziła w górę tropikalnymi ogrodami tej tandetnej, mściwej roślinności, płynęły coraz to nowe zapasy substancji, coraz nowe rezerwy wydzielin, w których było gdzieś perskie oko niestrawionej fasoli albo połkniętej pestki z czerśni, i tak ta zwycięska maskarada materii, ten karnawał oszalałych z wolności ekskrementów przebił się przez ściany pokoju i runął strumieniem na miasto, unosząc z sobą ojca, który rozkraczony jak na koniu zniknął nam z oczu, ten bohater.

Z nosami ściśniętymi w palcach staliśmy wówczas w oknach parteru i patrzyliśmy z przerażeniem, jak ojciec kurczył się powoli, lineatura jego twarzy i rąk zwijała się w obłe pierścienie, ruchy stały się podobne do ruchów ogromnej dżdżownicy i poznaliśmy, jak ojciec zamienił się w czarnego, śliskiego solitera, który posuwał się naprzód drobnymi kroczkami trychinowego ciała, aż schował się cały w jakiejś rynnie wiadomej zaufanej substancji i znikł nam z oczu raz na zawsze.

Pierwodruk: „Chochoł” 1938, nr 1 z 6 lutego, s. 3.